

Kronika tygodniowa.

W poprzedniej kronice narzekałem na zbliżającą się zbyt szybkim krokiem kanikule, dziś muszę przyznać, że narzekania moje były co najmniej przedwczesne, bo, po pierwsze, nie jest znów tak gorąco, aby nie można wytrzymać, a po drugie, dzięki naszemu wielkiemu mężom, specjalistom od zagranicznej polityki, jest i o czym pisać i mówić, sprawa albańska i grecko-turecka nie schodzą bowiem z porządku dziennego.

Na ochłodzenie temperatury wpływają przede wszystkim dość częste deszczyczki, które skrapiają ziemię, szczególnie w te dni, gdy zapowiedziane są wyścigi, wychodzi zaś na tem najlepiej Zakład czyszczenia miasta, który wobec tego nie potrzebuje skrapiać ulic i placów, ale nie zbiera też i błota, wychodząc z tego, słusznego zresztą zapatrywania, że nie opłaca się dziś trudzić, skoro i jutro spodziewać się można deszczu, błoto zaś jest zwykłym i koniecznym jego następstwem.

Deszczyczki chwala sobie także i wyścigowcy, gdyż rozmoknięta ziemia nie jest tak twarda, a zdarza się dość często, że, zwłaszcza w te dni, kiedy „panowie jeżdżą”, koń idzie naprzód, jeździec zaś znajduje się na ziemi i narzeka, że rumak był za krótki.

Niezadowoleni są tylko totalizatorowicze, nie opłaca się bowiem dla kilku, albo choćby nawet i kilkunastu koron moknąć na deszczu, zabłocić po kolana i nabawić kataru, owej niewinnej słabości, której szeroko rozwinięta sztuka lekarska dotąd ujarzmić nie zdołała.

Choć, prawdę powiedziawszy, pierwszy dzień wyścigów wypadł stosunkowo dobrze. Deszcz, z powodów od Dyrekcyi niezależnych, zaczął padać dopiero pod wieczór, a totalizator, jakby na zachętę, płacił wcale nie najgorzej.

Pamiętać jednak trzeba na stare przysłowie, że „pierwsze koty za płoty” i na ową admonicyę poety, skierowaną właśnie do sportsmanów: „nie graj Wojtek, nie przegrasz... kamizelki”.

Niżej niepodpisany kronikarz osobiście na torze wyścigowym się nie zjawił, a to głównie z powodu chronicznego braku gotowizny, choroby gorszej jeszcze od wspomnianego wyżej kataru. Gdyby się tak znalazł ktoś, ktoby wymyślił na nią jakieś antidotum, jestem pewny, że zyskałby ogólne uznanie i doczekałby się pomnika wcześniej nawet, niż Kościuszko, nie mogący z wyższej woli opuścić gościnnych murów Straży ogniowej.

Nawet Wysoki Rząd, z zasady mający przy płaceniu ciężką rękę, z pewnością nie odmówiłby na ten cel wydatnej subwencji, zwłaszcza, że zaraz poprawiłby się i owe „konjunktury finansowe”, na co z takim utęsknieniem oczekują panowie c. k. inspektorowie od śrubby podatkowej.

Dla wiadomości statystyków, którzy kiedyś pracować będą nad ruchem żywych i umarłych (o ile *nota bene* nieboszczykowie ruszać się mogą! przyp. zecera) wspomnieć wypada, że w czasie wyścigowym jest w Krakowie stanowczo najwięcej „redaktorów”. O ile zdołałem sprawdzić, to z pomiędzy mych znajomych, a mam ich sporo, co drugi był redaktorem, otrzymał bowiem, jako kartę wstępu na wyścigi, tak zwaną „plakę redakcyjną”, o którą prawdziwi redaktorzy nieraz bez skutku prosili. Między owymi „redaktorami *in partibus infidelium*”, pasowanymi na tę godność przez zarząd Towarzystwa wyścigów konnych, znajdowali się przedstawiciele wszystkich zawodów. Aż serce radowało się, że człowiek ma tylu kolegów po fachu! Słusznie zowią Kraków „polskimi Atenami”, takie zatrzęsienie redaktorskie jest w każdym razie dowodem wysoko rozwiniętej kultury, o której stanie sądzić można nie tylko z ilości zużytego mydła, jak tam jakiś filozof powiedział, ale też i z liczby przeczytanych dzienników.

Gdzie zaś tylu redaktorów, tam musi być i wiele pism.

Uporawszy się z pogodą, należałoby się zająć sprawą bałkańską i grecko-turecką, o których na wstępie wspominałem, pierwszeństwo muszę przecież oddać tak zwanemu „konikowi zwierzyńieczkiemu”, czyli „lajkonikowi”, zwłaszcza, że przy tej okazji nasuwają się człowiekowi pewne refleksje.

Przedewszystkiem więc tegoroczny „konik” miał dla Krakowa symboliczne znaczenie, artystą bowiem, który grał jego rolę, był niejaki p. Bieda. Uciekali przed nim rozszerzeni Krakowianie i spętane Krakowianki, nie każdemu przecież się udało uniknąć ciosu jego pałki.

A czyż w życiu codziennym tak samo się nie dzieje? Czy nie prześladowuje nas bieda, ale taka pra-

wdziwa i to w najlepszym gatunku!... Na każdym kroku spotykamy się z nią, uciekamy przed nią, ona jednak goni nas nieustraszenie.

Poza tem w dniu owym skonstatowano, że przemysł krajowy rozwinięty u nas jest bardzo wysoko, po obchodzie bowiem zgłoszono w policji ni mniej, ni więcej, tylko aż sto kradzieży kieszonkowych.

Krakowska publiczność ma to do siebie, że ogromnie lubi zbiegowiska. Wystarczy, by ktoś stanął na Rynku i zaczął się gapić na wieżę Maryacką, znajdzie zawsze kilku a nawet kilkunastu takich, którzy pójdą w jego ślady.

Sam raz, gdy był jeszcze młodszy, zatem więcej fantazyi posiadający, postanowiłem sobie zażartować z ciekawych współobywateli.

Stałem więc przed kościołem Maryackim, zadarłem głowę do góry i patrzę... Za chwilę staje koło mnie kupka ludzi i patrzą także w tym samym kierunku.

Gdy mi się już znudziło, odwracam się powoli, mówiąc do siebie półgłosem:

— Hm! A jednak wzrok mnie nie myli!

Ciekawość gromadki, która tymczasem stała się wcale pokąską, doszła do punktu kulminacyjnego, ponieważ zaś nikt jakoś nie mógł się niczego dopatrzyć, jeden z odważniejszych obywateli zwraca się do mnie z zapytaniem:

— A co pan dobrodzieju tam widzi?

Jak na dobrze wychowanego człowieka przystało, nie zwlekałem z odpowiedzią.

— To kochany pan nie widział? — zapytałem z kolei.

— Nie! — odparł i patrzy dalej.

— Dziwna rzecz!... Widzi pan, ot, tam, na szczycie wieży, po chorągiewce łazi mucha i kuleje na prawą nogę...

Popatrzył na mnie z politowaniem, potem splunął z odrazą i odszedł, mrużąc coś pod nosem. Zapewne, jako miłujący bliźniego, życzył mi, bym nogi połamał lub kark skręcił.

Otoż każdy przeciętny Krakowianin stworzony jest na obraz i podobieństwo owego jegomościa, najmniejsze głupstwo wystarczy, by zapomnieli o całym świecie i, gapiąc się, przypominał owego głuszcza tokującego, o którym śpiewa natchniony poeta, że „nic nie widzi, nic nie czuje”...

A czy może być lepsza sposobność dla złodzieja kieszonkowego, który potrafi skorzystać z tego i zo-perować biedaka?

W czasie obchodu „lajkonika” zbiegowisko zaś jest tak ogromne, że w niektórych miejscach próżnobyś się silił, by się przez tłum przebić. Tu dopiero zaczyna się prawdziwe żniwo dla „dolinarzy”. Trzeba zaś wiedzieć, że w szeregu gapiów znajduje się oprócz tak zwanej popularnie gawiedzi i sporo inteligentów, którzy konika wprowadzić widzieli już przynajmniej dwadzieścia razy w życiu, pchają się przecież i pozwalają sobie obijać boki, by go widzieć po raz dwudziesty i pierwszy.

To rozumiem! To jest dopiero szanowanie tradycji.

Największy ścisk panuje z reguły w ulicy Brackiej, która jest stosunkowo dość wązka, a gdzie gromadzi się mnóstwo ciekawych. Jedni poprzedzają konika, inni spieszą po procesji pod pałac biskupi, aby go powitać.

Skoro więc orszak znajdzie się już w ulicy, policja, ze względu na publiczne bezpieczeństwo, zamyka ulicę kordonem żołnierzy, aż do chwili, gdy „konik” dojdzie do Rynku i tu rozpocznie swe harce. Poza kordonem ścisk nie do opisanego, gnioł się młodzi i starzy, chudzi i tłuści, krotochwile urządzają sobie wyrostki podmiejskie, nawołując się wzajemnie: „daj mu sera!”, a korzystają z tego amatorzy cudzej własności.

Niech jednak kto nie myśli, aby się to publiczności podobało!... Są uparci, a na upór, jak wiadomo, niema lekarstwa, którzy powiadają, że właśnie teraz chcą przejść ulicą Bracką, zarządzenie zaś policji uważają za ograniczenie obywatelskiej swobody.

Właśnie tego roku wydarzył się podobny incydent. Pewien inteligent i to nie taki przeciętny, ale mający studia uniwersyteckie, postanowił za wszelką cenę przedostać się poza kordon, zamykający ulicę Bracką i jakoś mu się to udało.

Gdy się znalazł na wolniejszym miejscu i natknął znajomego komisarza policji, wpadł nań z furją i zawołał:

— Co to za porządek?... Ja chcę przejść przez ulicę Bracką, a tu mnie nie puszczają?...

— Widzi pan, że zamknięta!... — odparł zagadnięty. — Przecież wygodniej i bezpieczniej dostać się na Rynek przez ulicę Grodzką.

— Kiedy ja chcę tędy!...

— Ha! Skoro pan chce koniecznie, to wolna droga! Ale nie radzę! Widzi pan, jaki ścisk!...

— To mnie nie obchodzi! Kto zarządził zamknięcie ulicy?

— Ja!

— Pan?... Dobrze! Już ja znajdę drogę do władzy wyższej!...

I kontent, że postawił na swoim, przy użyciu łokci i kolan zaczął przedzierać się przez tłum, a epilog był taki, że i on zgłosił się potem w policji z doniesieniem, iż w ścisku skradziono mu pulara.

A takich upartych jest dość!

I cóż dopiero mówić o warstwach niższych, skoro w ten sposób postępują ludzie wykształceni?...

Gdyby publiczność zastosowała się do zarządzeń, jakie wydaje się ze względu na ogólne bezpieczeństwo i każdy widziałby tradycyjnego „lajkonika” i nie naraził się na kilka sińców, albo okradzenie.

Pod tym względem stoimy daleko w tyle poza resztą Europy, nic też dziwnego, że potem narzekamy na niegrzeczne obejście się policji z publicznością, boć przecież i oni są tylko ludźmi i mogą stracić cierpliwość.

Nie przeczę, że „władza” urzęduje czasem zbyt energicznie, choć tego nie potrzeba, winna temu jednak organizacja naszej służby bezpieczeństwa. Zresztą ja sam, rok temu będzie, wspominałem i dziś to powtarzam, że Kraków, tak jak Wiedeń i inne wielkie miasta, powinien mieć straż policyjną nie wojskową, lecz cywilną, podległą bezpośrednio tylko Dyrekcyi policji. Do tego jednak podobno bardzo jeszcze daleko!

Otóż, ponieważ właśnie w czasie obchodu „lajkonika” najwięcej dzieje się różnych awantur, zachodzących się podnosić głosy, aby ten piękny obchód znieść raz na zawsze, a tem samem usunąć powód słusznych i niesłusznych narzekań.

Jeśli więc przyjdzie kiedyś do tego, winę przypiszmy sobie sami, powoli pozbędziemy się dawnych naleciałości, które drażnią niejednego i dopiero będziemy mogli powiedzieć, że Kraków się zupełnie zmodernizował.

Na *conto* postępu zapisać należy także wchodzące w modę „smaczne” egzaminy. O tem dawniej nikt nie słyszał, dziś spieszy tam człowiek, wiedząc, że nie tylko ucieszy wzrok i słuch, ale także zadowoli i żołądek. Mam na myśli popisy szkół gospodarstwa domowego i bardzo żałuję, że nie jestem referentem tego działu. Stanowczo jest to przyjemniejsze, niż ciężka dola kronikarza, który musi sobie łamać nad tem głowę, co zrobić z księciem Wiedem, lub jak pogodzić sułtana z królem greckim.

Dla księcia Wieda znalazłem bardzo odpowiednie stanowisko. W Krakowie po abdykacyi króla jegomości Bialika panuje w Towarzystwie Strzeleckiem bezkrólowie, możnaby młretowi albańskiemu zaproponować, czy nie zdecydowałby się na zamienienie niewygodnego tronu w Durazzo na bardzo wygodny fotel na krakowskiej Strzelnicy. Jako były rotmistrz umie chyba strzelać (nastrelał już dość baków!... przyp. zecera), bez trudności straci więc resztkę kura i zapewni sobie na rok spokojny przytułek. Nasza bracia strzelecka nie wznieci przeciw niemu powstania, nie będzie więc potrzebował oglądać się na pomoc Mirydytów i Malissorów.

Choć pono i na „Strzelnicę” wieją także od czasu po czasu prądy rewolucyjne, jak to mieliśmy sposobność obserwować mniej więcej rok temu.

I na załagodzenie zatargu grecko-tureckiego mam sposób w zanadrzu. Niech sułtan jegomość z królem Konstantym rozegrają partję piłki nożnej. Kto zrobi bramkę, tego ogłosimy zwycięzcą. Ponieważ Greczyn, jako młodszy i posiadający silniejsze odnóża, ma też i większe szanse zwycięstwa, Turek zawczasu powinien, jako pobity, pakować kufry i wynieść się do Azji, a my tu już podzielimy się resztkami jego europejskiego dziedzictwa, bo do parcelacji mamy i ochotę i wrodzone zdolności.



RIZ ABADIE

Tutki z wata FERROL

— poleca —

Société Abadie w Paryżu.